

Gdyby nie ta kobieta...

Jest rok 1942. Wraz z moją rodziną, mężem i dwójką dzieci, mieszkam na przedmieściach Warszawy w niewielkiej kamienicy. Jest to teren Generalnego Gubernatorstwa. Największym marzeniem mojej rodziny jest aby doczekać czasu zakończenia wojny i móc normalnie żyć, bez ciągłego strachu i niepewności.

Pewnego wieczoru, kiedy usypiałam moje dzieci, usłyszałam cichutkie pukanie do drzwi. „Gestapo” - pomyślałam odruchowo i skurcz strachu ścisnął mi gardło. „To jednak niemożliwe, przecież oni łomotaliby na cały dom. Więc kto?” Ostrożnie uchyliłam drzwi. Za progiem dojrzałam wychodzoną kobietę, obejmującą kilkuletniego chłopca, o ciemnych, wielkich oczach. Stali bez słowa, ale tak naprawdę nie musieli nic mówić. Od razu widać było, że to Żydzi, którzy uciekli z getta.

„Łaskawa pani nam pomoże, błagam - weźcie chociaż mojego syna, nie skazujcie go na śmierć,” wyszeptala kobieta, a we mnie były myśli - co zrobić? Czy zaryzykować życie mojej rodziny? Przecież wiadomo, że za jakąkolwiek pomoc Żydom grozi kara śmierci... Ale przecież Żydzi to także ludzie - oni w żaden sposób nie różnią się od nas.

Dostrzegłam, że za mną na korytarzu stała moja rodzina, moje dzieci bacznie przyglądały mi się i wszyscy oczekiwali na decyzję.

„Wchodźcie, zanim ktoś was zauważy,” powiedziałam do tej kobiety i wpuściłam ich do środka. Kobieta padła na kolana i zaczęła mi dziękować. Na jej twarzy można było dostrzec promyczek nadziei. „Nie wiem jak się Wam odwdzięczę, niech Wam Bóg błogosławi!”

Wspólnie z mężem zaczęliśmy się zastanawiać, gdzie możemy ich ukryć, na wypadek gdyby Gestapo wtargnęło do kamienicy i ich szukało. Zdecydowaliśmy, że ulokujemy ich w spiżarni, a wejście zasłonimy szafą. Daliśmy tam materac, ciepłą kolację, herbatę. Po kilku godzinach, gdy nastala już ciemna noc, a wszystko wydawało się być spokojnie, i nigdzie w pobliżu nie widać było Niemców, kobieta z dzieckiem wyszli, żeby wziąć gorącą kąpiel i przebrać się w świeże ubranie. Potem wszyscy poszliśmy spać.

Ja jednak nie mogłam zasnąć. Cały czas zastanawiałam się, jak będzie wyglądać moje życie, bo tak naprawdę tego wieczoru wszystko się zmieniło. Ale cóż mogłam zrobić? Wiedziałam, że muszę dać schronienie tej kobiecie, przecież sama mam dzieci w wieku jej syna, a gdybym tego nie zrobiła, to przecież dałabym im wyrok śmierci. I jaki wtedy dałabym przykład dzieciom, które całe to wydarzenie widziały? Przecież wychowujemy je w przekonaniu, że wszystkim trzeba pomagać, niezależnie od tego, kim są, a w szczególności w takich ciężkich czasach, jakie teraz panują... To byłoby nieludzkie. Jednak tak naprawdę bałam się i to uczucie strachu mnie przerażało. Co będzie jeśli się ktoś o tym dowie? Nie będzie już żadnej drogi powrotnej, żadnej możliwości zmiany decyzji, albo obietnicy „że to się nigdy nie powtórzy”. Zabiją nas wszystkich...

Gdy tak nie mogłam spać w nocy, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. W małej miejscowości pod Warszawą miałam dalekiego wuję, który z pochodzenia był niemieckim Żydem na stałe mieszkającym w Polsce. Przez te wszystkie lata nikt jednak nie wiedział, ani nawet nie domyślał się jego żydowskiego pochodzenia. Pomyślałam, że możemy przewieźć kobietę do niego. Tam będzie mogła czuć się bezpieczniej jak w samej Warszawie, bo jest to spokojna okolica, a i my nie będziemy czuć tak wielkiego zagrożenia. Wiedziałam też, że wuj nie będzie miał nie przeciwko, bo był to dobry człowiek o naprawdę wielkim sercu.

Postanowiliśmy, że wyruszymy natępnego dnia, wczesnym świtem. Ustaliliśmy, że bezpieczniej będzie, jak mąż weźmie kobietę i chłopczyka i pójdzie sam, a my będziemy czekać w domu. W ostatniej jednak chwili zdecydowaliśmy, że bierzemy dzieci i jedziemy wszyscy razem. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli nas ktoś zatrzyma na drodze, to nie będziemy mieć zbyt dużych szans na ocalenie życia, ale mimo tego coś mi mówiło, że najlepszym wyjściem będzie podróż całej naszej rodziny. Szybko spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy, wzięłam trochę pieniędzy i ruszyliśmy.

Podróż przebiegła spokojnie, chociaż parę razy widzieliśmy patrolujące samochody niemieckie, ale na szczęście nikt specjalnie nie zwracał na nas uwagi. Po godzinie drogi dotarliśmy na miejsce. Wuj przejął się bardzo historią kobiety i obiecał pomoc. Przekonał również mnie, żebyśmy zostali parę dni u niego, bo miejscowość ta była cicha, jego domek stał przy lesie i w najbliższej okolicy nie było widać żadnego Niemca. Zgodziliśmy się, bo skoro już tam przyjechaliśmy to pomyślałam, że trzeba wykorzystać tę szansę, bo ostatnie miesiące spędziliśmy w naszej kamienicy ze względu na towarzyszący strach przed każdym jej opuszczeniem. A tak naprawdę to i w naszym mieszkaniu nie mogliśmy być przecież całkowicie bezpieczni.

Któregoś dnia, z okna w kuchni zauważyłam, że przyjaciel mojego wuja biegnie do jego domu. Szybko wyszłam na ganek, nie informując nawet wuję, bo pomyślałam, że chyba coś się musiało stać, skoro ten człowiek przyjechał tam z Warszawy; mieszkał on bowiem kilka przecznic dalej niż my. On gdy mnie zobaczył, padł na kolana, a potem w moje ramiona i szepnął: „Jak to dobrze, że żyjecie.”

Jak się później okazało - nasz dom i wszystkie na naszej ulicy zostały zrównane z ziemią - nikim kto był w środku nie przeżył. Nam się udało, bo mieliśmy wielkie szczęście, że ta bezbronna kobieta wybrała akurat nasze drzwi w kamienicy, i przyjechaliśmy z nią w to miejsce. Tym razem to ja nie wiedziałam jak jej dziękować... To przecież ona ocaliła nam życie... Byłam tak wzruszona, łzy leciały mi z oczu, nie mogłam się powstrzymać... Niby straciliśmy cały nasz majątek i dobytek, ale przecież mieliśmy siebie nawzajem, a to było najpiękniejsze. Uznaliśmy tę kobietę i jej syna za członków naszej rodziny, i obiecaliśmy sobie wzajemną pomoc przez całe życie.

To wydarzenie utwierdziło mnie w przekonaniu, że jeśli komuś kiedyś pomożemy, to los nam się za to odwdzięczy...